

ZAJMUJĄCE CZYTANKI  
P.D. REDAKCJA MARJI BUENO-ARCTOWEJ

TERESA JADWIGA

# Z ŻYCIA DZIATWY

OBRAZKI Z MINIONYCH STULECI



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

1917





O trzy mile za Krakowem, w Staniątkach, wznosił się klasztor Panien Benedykynek; przy klasztorze owym była szkoła mieszana dla dziewcząt i chłopców.

Było to w roku 1259, a zatem już bardzo dawno.

Właśnie odezwał się wielki dzwon i oznajmił dziatwie, mieszkającej w klasztorze, że pora wstać. Pozrywały się dzieci z łóżek i zabrały się do mycia, chłopcy w swojej, dziewczęta w swojej sypialni. Pomagają sobie wspólnie: jedne chylą się nad wielkiem drewnianem naczyniem, postawionem w pośrodku izby, drugie leją nad pochylonemi zimną wodę z dzbanków glinianych.

Pełne prostoty były wówczas obyczaje.

Pluszcze się dziatwa w czystej wodzie, jak ptaszęta w strumieniach, łąki przerynających, a przy tem zajęciu pełno śmiechu, gwaru, figłów.

Nie wszystkie wszakże dzieci śpieszyły z ochotą pod strumień zimnej wody. W izbie chłopców — dwóch zakopało się w pościel, udając, że śpią jeszcze, a w izbie dziewcząt mała dziewczynka, najmłodsza z uczennic, siedzi na łóżku i ociąga się z pójściem pod dzban.

Ale w każdej izbie czuwa zakonnica, więc dziatwa musi się umyć porządnie, bo siostry Benedyktynki potrafią karać ospalców i leniwców, a na ścianie w każdej sypialni wisi różga; gdy malec leniwy lub nieporządny i nie posłucha dobrego słowa, zakonnica sięga po różgę i mówi:



— Lenistwo i nieczystość to grzechy główne; kto cudzym grzechom pobłaża, sam grzeszy: ja nie będę grzeszyła.

I grozi różgą. Przestraszony tem krnąbrny malec śpieszy pod dzban, wstrząsa się, ale myje się starannie.

Wypluskawszy się w krynicznej wodzie, dziatwa ubrała się: chłopcy włożyli białe świty, dziewczęta koszulki haftowane i lniane spódniczki, na to krótkie kaftany, poczem, uczesawszy włosy, ustawili się parami, i w tym porządku, z zakonnicami po bokach, z przełożoną, siostrą Wisenną, na czele, udali się do kaplicy miejscowej.

Wysłuchawszy tam mszy świętej, zmówili razem z kapelanem, klęczącym przed ołtarzem, „Ojcze nasz”, „Zdrowaś” i „Wierzę”, nakoniec „Litanję do Pana Jezusa”, — poczem wśród gwaru głośniego podążyli znowu do refektarza<sup>1)</sup>.

W refektarzu było już zastawione śniadanie: każdą parę czekała misa dymiącego krupniku.

Wśród licznej gromadki, która obsiadła dwa długie stoły w refektarzu, wyróżniał się chłopiec, mogący liczyć lat jedenaście, o bystrych czarnych oczach, ubrany w białą switę, ujętą w biodrach czerwonym pasem, i dziewczynka, ze dwa lata młodsza od niego, błękitnooka i jasnowłosa.

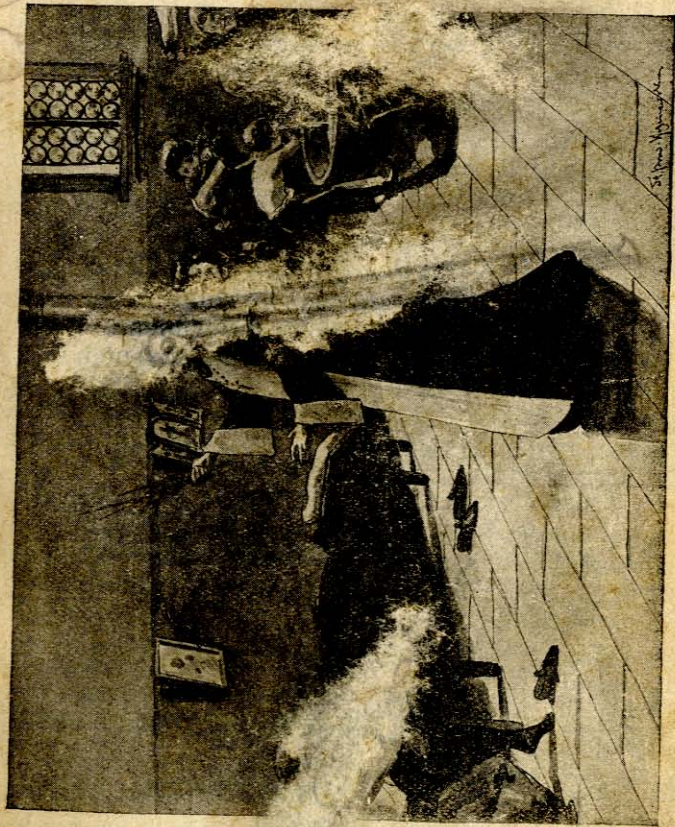
Oboje usiedli razem przy jednej misie i szeptali do siebie, snąc coś miłego obojgu, gdyż uśmiechali się ustawicznie, a jedli zgodnie, jakby kochające się rodzeństwo.

Bo też było to istotnie rodzeństwo: brat i siostra.

Kochali się też niezmiernie, jakby chcieli sobie wzajemnie osłodzić niedolę sieroctwa; zawsze trzymali się razem, tak przy pracy, jak przy zabawie, przy posiłku i na przechadzce. Jeśli dziatwa urządziła gonitwy w sadzie, z pewnością Jaś ścigał Marysię; jeśli bawili się w chowanego, brat szukał siostry.

<sup>1)</sup> *Refektarzem* nazywa się sala jadalna w klasztorze.

I teraz widzimy ich razem przy jednej misie.  
— Jasiu, przysiadźże się do mojej misy, a Witek przejdzie do Marysi, tak będzie sprawiedliwiej — odezwał się jeden z chłopców z przeciwnej strony stołu.



— Zostaw nas w spokoju — odparł Jaś, nie ruszając się z miejsca — ty ładniej obronisz się od łakomcy, niż dziewczyna. Jak nas siostry posadziły, tak będzie.



Wicek jadt rzeczywiſcie łakomie, zawsze zdążył połknąć dwie łyżki krupniku, zanim Bolek jedną do ust podniósł. Odmowa Jasia rozgniewała Bolka.

— Odplacę ja ci to kiedy mruknął.

Wtem z dziedzińca dobiegł do okien głuchy hałas: spojrzenia dzieci zwróciły się ku oknom re-fektarza.

— Co to? — spytała z widocznym niepokojem Marysia.

— Może Tatarzy! — rzekł Bolek i spojrzał złośliwie na dziewczynkę. — Jeno o Tatarach gadają teraz oj-cowie w domu — dodał, — i siostry w klasztorze także. Pono spodziewają się ich u nas lada dzień. Straszne to mają być potwory: żywią się jeno mięsem końskim i ludzkim, innego nie jedzą; chwytają dziewczęta, małe i duże, wiążą je i, posadziwszy na koń, do siebie uwożą. Tam służyć im sobie każą, a biją i męczą okrutnie za najłżejsze przewinienie. Mówią, że brzydocy są aż strach, niczem przy nich same djabły!

Na twarzach dzieci malowało się przerażenie.

Cieszyło to Bolka, że dzieci przestrasza, stawał się coraz wymowniejszy, tembardziej, iż zakonnice nie weszły jeszcze do izby.

— Gdzie przejdą, tam jeno zgłiszczą i popioły zostawiają, — mówił chłopiec dalej — wszystko palą, niszczą albo rabują, a chłopców mordują albo w niewolę pędzą.

— Boję się okropnie — szepnęła Marysia do brata.

— Nie bój się, ja zawsze będę przy tobie i nie dam ci krzywdy zrobić — rzekł Jaś odważnie.

— Gdy Tataru zobaczysz, uciekniesz.

— Oj ej! co też ty mówisz, myślisz, żem zapomniał o tym dniu dawno minionym, w którym matkę naszą ujrzeliśmy w trumnie. Wszystko pamiętam... Mrok izbę zalegał, siedzieliśmy we dwoje tylko, tyś miała wtedy pięć latek, ja siedem, płakałaś i wołałaś:

— Do mamy — a ja ci mówiłem:

— Nie można, matuś chora.

Wtem wszedł ojciec, był bardzo smutny i bardzo blady, siadł obok, wziął nas na kolana i powiedział:

— Matuś wasza poszła do Boga.

— A kiedy wróci? — zapytałaś.

— Już nie wróci do nas, ale my do niej kiedyś pójdziemy — odrzekł.

— Więc pójdźmy zaraz — powiedziałaś.

Ojciec wstał, z oczu jego potoczyły się łzy.

— Chodźcie — wymówił.

I powiódł nas do izby gościnnej; tam matka w trumnie leżała taka biała, taka cicha!... Trumna stała na podłodze. Ojciec kazał nam uklęknąć i pocałować jej ręce, a gdyśmy to spełnili, powiedział:

— Jeżeli chcecie tam pójść, gdzie ona teraz poszła, czyńcie dużo dobrego i módlcie się gorąco do Boga, a może do niej kiedyś pójdziecie. Poczem powrócił z nami do naszej izdebki i znowu rzekł:

— Mnie sprawy ważne z domu wywołują, muszę jechać, bo mnie książę Krakowa woła, ciebie oddam pod opiekę sióstr Benedyktynek, tam będziesz się uczył, Staniątka blisko; ale biedzę się, co zrobić z Marysią.

— Oddajcie, ojcze, i Marysię — doradziłem.

— W Staniątkach Benedyktynki uczą wprawdzie chłopców i dziewczęta, — rzekł ojciec — lecz Maryś jeszcze za mała.

— Będę się nią opiekował — namawiałem.

— I opiekujesz się — szepnęła dziewczynka, patrząc na brata z miłością.

— Gdy Tatarzy wpadną do Staniątek, nie opuszczę cię — rzekł chłopiec.

— Nie odstąpisz — powtórzyła Marysia. I znowu jedli spokojnie.

Wtem odezwał się głos dzwonu klasztornego. Zrozumiały go dzieci; wołał on:

— Do pracy, do pracy!



Posilczy się i odmówiwszy modlitwę dziękczynną, dziatwa przeszła do izby szkolnej, w której zastała już cały zastęp rówieśników, przybyłych z pobliskich miasteczek. W Staniątkach dzieci uczyły się katechizmu, pisać, czytać z rękopisów, a na pamięć psalmów łacińskich i śpiewu kościelnego. Starszych nad lat 12 zakonnice nie przyjmowały. Większość dzieci, zwłaszcza chłopców, przychodziła tylko na naukę, gdy pewna garstka sierot, oraz dzieci, pozbawionych opieki, za szczególnem pozwoleniem przełożonej mieszkała w klasztorze.

Lekcje rozpoczynała zwykle nauka psalmów; do tej nauki dzieci nie siadały, lecz, stojąc, powtarzały za zakonnica niezrozumiałe dla nich łacińskie wyrazy; młodsze przekreślały je często, starsze chichotały z pomyłek towarzyszków i zakrywały usta dłonią, aby tłumić wybuchy śmiechu.

Po nauce psalmów dzieci zasiadały do pisania: nauczycielka z trzcina w ręku obchodziła stoły, przeglądała prace, chwaliła pilnych, przestrzegała niedbałych, karała niepoprawnych. Już niejedyn z malców ocierał ukradkiem łzy i chuchał co chwila na bolące palce, mocno zaczerwienione od uderzeń trzciny, gdy rozległ się bolesny okrzyk w izbie.

— Co tobie? — zapytał Jaś siostrę.

— Ktoś trącił stołem, patrz, com zrobiła — rzekła Marysia.

Na tablicy, leżącej przed nią, zamiast litery był wielki gzygzak.

Nietrudno było się domyślić, kto stołem trącił. Bolek spoglądał z miną złośliwą na przestraszoną dziewczynkę, oczekując wdania się jej brata. Lecz Jaś kłótni nie lubił.

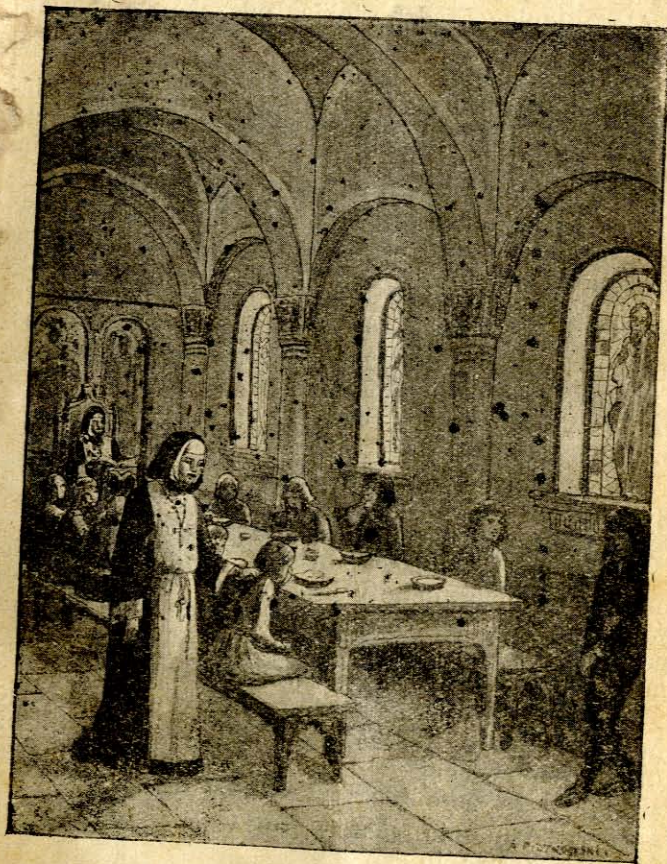
— Nie bój się, siostrzyczko, poradzę nieszczęściu — rzekł.

I zanim Marysia domyśliła się, co czynić zamierza, zamienił z nią własną tabliczkę.

W tej chwili zbliżyła się do nich zakonnica i palcem wskazała śmieszny gzygzak.

— Za takie bazgroty nie dostaniesz dziś obiadu — rzekła surowo.

Jaś, który powstał, gdy zakonnica do niego



przystąpiła, w milczeniu wysłuchał wyroku, a gdy się oddaliła, zabrał się napowrót do pracy.

— Siostró Juljo! ja to zrobiłam ten gzygzak, to moje pisanie — zawołała z płaczem Marysia za odchodzącą.

Z życia działy. 2.



Zakonnica przystanąła.

— Nie ujmuj się za nim — rzekła, i poszła dalej.

— Cóż ty zrobił! — szepnęła Marysia — teraz będziesz głodny.

Ale chłopiec, rad z siebie, odrzekł z miną zadowoloną:

— Nie wygadaj się, bo mi będzie markotno.

Po lekcji pisania, dzieci, znowu stojąc, zaśpiewały chórem pieśń pobożną; poczem dodawały głośno, także chórem, po dwa, po trzy, i odpowiadały na pytania, zadawane im z arytmetyki.

Po tej lekcji, która im myśl zmęczyła, dziewczęta siadały prząść na kołowrotkach, chłopcy zaś strugali tyczki do winnej latorośli, którą siostry Benedyktynki hodowały w swoim ogrodzie. Z jej owoców przygotowywały wino, potrzebne do kościołów Krakowa, a także i do swojej kaplicy. Tymczasem siostra Wisenna, przełożona klasztoru, czytała głośno pracującej rzeszy przypowieści z Pisma Świętego.

Wreszcie dzwon oznajmił godzinę południową. Była to pora obiadu.

Dzieci znów parami udały się do refektarza.

Marysia zasiadła dziś sama jedna przy swojej misie; nie miała ochoty jeść, nawet łyżki nie ujęła w rękę, tylko w oczach jej łzy świeciły, a łkanie gardło ścisnęło. Co chwila spoglądała wgląd korytarza, gdzie stał Jaś samotny.

Spostrzegł to Bolek, już chciał odesłać do jej misy łakomego Wicka, ale spryt mu doradził nie drażnić się więcej z Marysią. Widział, jak do Jasia podeszła zakonnica.

— Czemu nie siedzisz przy stole? — zapytała chłopca siostra Julja.

Jaś spojrzął na nią zdziwiony.

— Toć za bazgranie na głód skazany zostałem — odpowiedział.

Siostra uśmiechnęła się i pogłaskała jego ciemną główkę.

— Dobry z ciebie brat, widziałam wszystko, — rzekła — próbowałam jeno twego serca i siły woli; wyrośniesz na chwałę Boga. Siądź do misy i jedz. Patrz, twoja Marysia już prawie płacze.

Jaś skoczył do siostry, uściskał ją.

— Siostra przebaczyła i będziemy razem jedli — rzekł.

Łzy w tej chwili uciekły z oczu dziewczynki, osuszył je może uśmiech, który wybiegł na jej usta, jak promień słońca osusza krople deszczu na liściach drzew. Niebawem próżna misa stała przed Jasiem i Marysią.

Po obiedzie dzieci pobiegły do sadu, łączącego się z klasztorem, na zabawę.

Ustawiwszy się rzędem, chłopcy i dziewczęta postanowili biedz do mety, którą miała stanowić wyniosła lipa, rosnąca na końcu sadu: kto pierwszy dobiegnie, ma być uwieńczony liśćmi dębowymi.

Chłopcy zostawili pierwszeństwo dziewczętom, sami zaś stanęli, jako sędziowie, po stronach.

Marysia, choć należała do młodszych, biegła jednak szybko, bo była szczupła i zwinna jak sarenka. I dziś wyprzedziła towarzyszeki.

Chłopcy bili oklaski, tylko Bolek patrzył na nią posepnie. Właśnie przebiegała koło niego, gdy naraż zachwiała się i upadła na ziemię. Niestety, na drodze leżał ostry kamień, Marysia uderzyła o niego czołem, aż krew z rany popłynęła. Wszyscy widzieli, że to Bolek podstawił nogę dziewczynce.

Czuwająca nad dziatwą zakonnica przybiegła do niej, lecz ta już zerwała się z ziemi, zasłoniła chustką zranione czoło i pogoniła za towarzyszkami, które ją wyprzedziły, dogoniła je i pierwsza stanęła u celu.

— Niech żyje Maryś ze Złocienia! — poczęła wołać dziatwa, biegnąc z wieńcem.

Złocieniem zwała się wieś, której właścicielem był ojciec dziewczynki.

Jaś objął siostrę ramieniem.

— Chodź obmyć ranę, — rzekł — Przełożona cię wzywa.



Gdy mijali Bolka, Jaś spojrzął na niego i rzekł:  
— Nie udało ci się!  
— Bodajby was Tatarzy pożarły — odparł tamten, spoglądając ponuro na uwieczoną.

Wtem uczuł czyjąś dłoń na ramieniu, obejrzał się i zbladł.

Siostra Julja stała za nim.

— Chodź ze mną do przełożonej — rzekła i, wzięwszy go za rękę, powiedła za Jasiem i Marysią do celi przełożonej, która przygotowywała maść dla skaleczonej.

Pokrzywdzeni i winowajca stanęli jednocześnie przed siostrą Wisenną. Siostra Julja wszystko opowiedziała.

Cień smutku powlókł twarz przełożonej.

— Pod wasz sąd oddaję winowajcę — rzekła do Jasia i Marysi. — Ukarzcie go, jako chcecie.

— Ja mu przebaczam, toć już dosyć ukarany; ze wstydu nie śmie podnieść czoła — odezwała się Marysia.

— Nie będę ci się sprzeciwiać — rzekł Jaś.

— Podziękuj im — zwróciła się z surowym wyrazem twarzy siostra Wisenna do Bolka — a pamiętaj, że złośliwość nasza, kierowana na niewinnych, często zwraca się ku nam, i bliźniemu szkody nie czyni; pamiętaj i to, że niebezpiecznie jest wyzywać zło: nie strasz drugich Tatarami, aby ciebie nie nastraszyli!... To powiedziawszy, westchnęła.

— Krążą znowu słuchy o nich — mówiła — raczej módl się, abyś nie doczekał czasów, jakie my, starsi, przeżyliśmy.

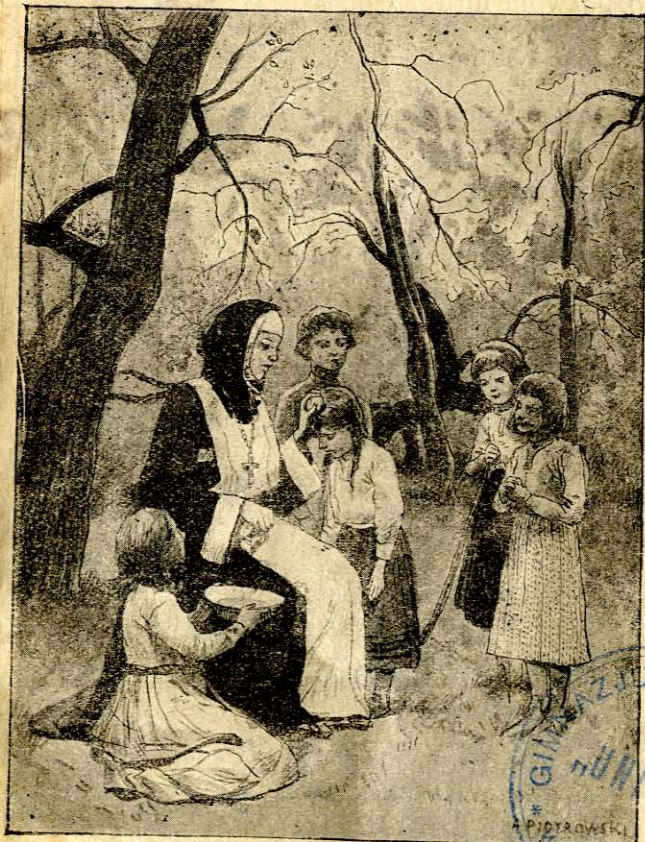
Umilkła i zajęła się opatrzeniem krwawiącej rany Marysi. Gdy zawiązała główkę dziewczynce, odezwała się znowu.

— Wróćmy do sadu. Zamiast biegać, posłuchajcie mojej powieści.

Ciasnem kołem otoczyła dziatwa przełożoną; aby nie próżnowały, kazała im siostra Wisenna oskubywać z łodyżek kwiatki, które dnia poprzedniego

na łąkach dla chorych nazrywały, sama zaś poczęła opowiadać.

— Osiemnaście lat już upłynęło od owego pamiętnego, a smutnego dnia, młodziuchną byłam



jeszcze w owym czasie dziewczynką, a z was żadnego jeszcze nie było na świecie. Ślubowałam już Bogu Najwyższemu, że służbie Jego życie swoje



pościęce. Ojciec mój, Klemens z Roszczy, kasztelan Krakowa, znając pragnienia mego serca, tu w Staniątkach, o trzy mile od miasta, kazał zbudować kościół i ten klasztor; poczem zaprosił siostry Benedyktynki, aby go zajęły. Wówczas dopiero pozwolił mi dom opuścić i w tym klasztorze osiąść. Było to roku 1241. Od wielu już miesięcy ludzie trwożyli się u nas nawzajem, że dzicy Mongołowie kroczą ku nam. Pobożna nasza królowa Kinga razem z mężem swoim, Bolesławem, codziennie modły gorące zanosili do Boga, by odwrócił od nas to nieszczęście.

W naszym klasztorze od świtu do nocy i nocą całe płonęły lampy i świece, bośmy w pacierzach nie ustawały: gdy jedne znużyły się klęceniem i odmawianiem modlitwy błagalnej, inne zastępowały oddalając się na spoczynek.

Ale Bóg modłów grzeszników nie wysłuchał. Wprawdzie Tatarzy ominęli wówczas nasz klasztor, ale nad Krakowem zaświeciła krwawa luna, a jęki mordowanych dobiegały aż tutaj do nas.

Widziałam obalone kościoły, popalone domostwa, pomordowanych starców i niemowlęta; widziałam potem niejednokrotnie umierających z głodu, którzy, dowlókszy się tutaj, konali na progu naszego klasztoru, zanim zdążono wybiedz do nich z posiłkiem, słyszałam matki, rozpaczające, że im Tatarzy zagnali w jasyr córki i synów. O, nie wzywajcie dzieci tak strasznego nieszczęścia, lecz módlcie się, by do nas nie powróciło.

Dziatwa podniosła wzrok, pełen prośby, ku niebu, Bolek ze wstydu spuścił oczy.

Widząc skruszonego winowajcę, a innych strwożonych, siostra Wisenna odezwała się teraz weselej:

— No, idźcie się jeszcze bawić, biegajcie do mety, ćwiczcie ciało, bo jeno w zdrowym ciele mieszka zdrowa dusza; lecz jedno drugiemu krzywdy niechaj nie wyrządza!

I puściła się znowu dziatwa na wyścigi do wielkiej lipy i wieńczyła zwycięzców. Potem chłopcy

strzelali z łuków do celu, a dziewczęta, pobrawszy się za ręce, wkołko się obracały i wirowały, przyspiewując sobie.

W sadzie było wesoło: śmiechy, okrzyki tryumfu, nawoływania brzmiały ustawicznie, a skrzydlata rzesza, która miała swoje gniazda na drzewach sadu, wtórowała im szczebiotem.

Tak się bawiła i tak się uczyła w owe czasy nasza dziatwa.

O siódmej dzwon klasztoru wezwał wszystkich na wspólną wieczerzę do refektarza, po której siostry powiodły dzieci na wieczorne pacierze do kaplicy. Dłużej i gorliwiej modliły się one dzisiaj, niż zwykle, bo przyszły im na pamięć słowa siostry Wisenny.

\* \* \*

Dwa ciche i pracowite miesiące upłynęły dziatwie w klasztorze od powyżej opisanych wypadków. Dnia jednego ojciec odwiedził Jasia i Marysię i powiedział, że jeżeli nadal na pochwały siostry Wisenny zasługiwać będą, to na Boże Narodzenie zabierze oboje do Krakowa i przedstawi ich dobrej królowej Kindze, która kocha wszystkie pilne i pobożne dzieci.

Pogodna jesień pozwalała w dzień dziatwie biegać do sadu; czasami siostry wiodły ją na dalsze wycieczki pomiędzy pola, szumiące zbożem dojrzałym, lub do lasów sąsiednich, na grzyby, których było wbród.

Pewnego dnia po obiedzie, gdy dziatwa w głębi ogrodu zabawiała się w wyścigi, przyszły po nią cztery siostry Benedyktynki z kobiałkami w reku.

— Do lasu! do lasu!—rozległo się wołanie chłopców i dziewcząt.

Wesołym pochodem ruszyły dzieci przez zielone błonia, rozpostarte wokół klasztoru, pokryte kwieciami jak różnobarwny kobierzec. Chłopcy zrywali je, układali wiązanki, dziewczynki witały wianuszki, przeznaczając kwiatki na ubranie ołta-



rza Matki Najświętszej, pocieszycielki smutnych. Zakonnice śpiewały pobożny hymn „Boga Rodzico, Bogiem sławiona dziewico”.

Skowronki im wtórowały, słonko uśmiechało się, cała natura weseliła się.

Wtem jedna z sióstr przerwała pieśń pobożną.

— Czy potwierdza się wieść o Tatarach? — zapytała przełożoną — pono ksiądz Jan odwiedzał was dzisiaj, matko przewielebna?

Siostra Wisenna westchnęła.

— Mówił, że lada dzień należy ich oczekiwać — rzekła spokojnie.

Na twarzy młodej zakonnicy odmalowało się przerażenie.

— I cóż uczynimy? — zapytała.

— Będziemy się modliły — odparła Wisenna — a teraz nie wspominaj, siostrzo, imienia, mogącego działwę nabawić niepokoju. Przeżyłam już taką burzę — dodała łagodniej.

Zakonnica spojrzała na nią z uwielbieniem i przerwana pieśń znowu nucić poczęła.

Drużyna dotarła do lasu, zakonnice usiadły na mchu zielonym, dziatwa rozpierzchła się w różne strony, szukając grzybów. Każde chciało jak największą liczbę przynieść siostronie i złożyć do ich kbiatek.

Jaś z Marysią zagłębili się w ciemną głąb boru, szczęście im sprzyjało: co krok spotykali grzyby; sprawiali się cicho, aby nie zwabić do siebie towarzyszy i towarzyszek.

Naraz dziwne jakieś wrzaski dobiegły ich; wyprostowali się i słuchać poczęli.

— Co to? — spytała Marysia, blednąc.

Jaś ujął ją za rękę.

— Nie bój się, trzymamy się razem — rzekł, lecz i on zbladł.

Wrzask wzmógł się.

— Gore! gore! — wołanie to wyraźnie dobiegło teraz do uszu dzieci.

Serca im były w piersiach, jak serce dzwonu o ściany spiżowe.

Jaś objął siostrę ramionami.

— Tatarzy! Tatarzy!... usłyszeli.

Marysia podniosła na brata oczy błękitne, jak niezapominajki.

— Co my zrobimy? — szepnęła.

— Nie dam ci krzywdy zrobić — odparł chłopiec odważnie — ale ukryjmy się pod tym krzewem.

— Przykleknijmy oboje i pomódlmy się, Pan Bóg nas ocali. Marysia posłuchała, oboje złożyli ręce i poczęli mówić półgłosem „Ojcze nasz, któryś jest w niebie”.

Tymczasem gościniec, ciągnący się wzdłuż lasu, zahuczał od tętentu i rżenia rumaków, od wrzasku najeźdźców i jęków ludzkich. Dzieci, klęcząc pod krzakiem, nie przestawały się modlić.

„Święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja — mówiły drżącymi ustami, i w niebo błagalnie patrzyły.

Krzyki rosły, na niebie czerwona łuna się rozlała, różne odgłosy dochodziły z głębi boru.

Właśnie ostatnią prośbę wymawiali „Ale nas zbaw ode złego”, gdy posłyszeli trzask łamiących się suchych gałęzi, jakby ktoś po nich stąpał. Skończyli modlitwę; Marysia przytuliła się drżąca do brata.

— To Tatarzy idą — szepnęła. — Obronisz mnie?

— Obronię — odparł chłopczyk.

W tej samej chwili jakaś ręka niewidzialna odchyliła gałęzie wysokiego krzewu cierni, poza którym dzieci się ukryły, i dziki Mongoł z krzywą szablą w ręce ukazał się ich oczom. Jaś silniej siostrę objął, ona zamknęła oczy i przycisnęła się do niego.

Straszny Tatar zamierzył się.

— Mnie zabij — krzyknął chłopiec — jej nie tykaj!

W srogich oczach Tatarza odmalowało się zdziwienie, natężył się on mowy polskiej od jeńców, pobranych lat temu osiemnaście, i zrozumiał chłop-



ca; ręka jego z wzniesioną szablą opadła, coś za-  
bełkotał po tatarsku i cofnął się.

Dzieci podniosły spojrzenie do nieba.

— Bądź pochwalony, o Boże! — zaczęły się  
modlić.

Las huczy jeszcze, lecz dokoła coraz słabiej,  
coraz ciszej... umilkły jęki, hałasy i wycia psów,  
poblądła luna na niebie, tylko czarne kłęby dymu  
tu i tam pną się ponad szczyty sosen i zdają się  
skarżyć niebu.

Jaś i Marysia jeszcze siedzą pod krzakiem. Już  
gwiazdy wysypały się na niebie; dzieci pytają je  
wzrokiem, gdzie siostry, gdzie ich towarzysze i to-  
warzyszki, ale gwiazdy milczą i tylko drzewa po-  
ruszają zlekka liśćmi.

Wkrótce znużenie zaczęło zwyciężać Marysię:  
oczy jej zamknęły się, główka zwisała; usta przestały  
mówić modlitwę. Jaś spostrzegł to, ułożył siostrę  
na miękkim mechu, sam usiadł obok, zrazu czuwał,  
ale potem i jego sen zmógł i legł obok siostry.

Dopiero świergot ptactwa zbudził ich nad ra-  
nem; przetarli oczy, powstali i rozejrzeli się do-  
okoła.

W lesie cicho, słońce świeci jasno jak wczoraj  
zrana, wiewiórki skaczą po gałęziach, sikorki-  
szczygły, wilgi śpiewają chórem, dziecięcy w takt  
im stukają.

— Wróćmy do klasztoru, — rzekła Marysia —  
może nam się to wszystko śniło, możemy tylko  
zblądzić.

— Wróćmy — rzekł Jaś — i ujął siostrę za rękę.

Skierowali się ku drodze, ciągnącej się wzdłuż  
lasu; lecz gdy wychylili głowę z pomiędzy sosen,  
twarzyczki ich poblądły. Niemal naprzeciw siebie  
na gościńcu ujrzeni siostrę Julję, leżącą nieruchomo,  
z ramionami rozkrzyżowanymi, koło niej była ka-  
łuża skrzepłej krwi, za nią Józik z Bolnic i Stefek  
z Krakowa leżeli również zbroczeni krwią, a dalej  
jeszcze wiatr szarpał szmatą, która zdawała się być

częścią sukni jednej z sióstr; obok szmaty leżała  
czapeczka Bolka.

Marysia pociągnęła brata za sukmankę.



— Uciekajmy — szepnęła.  
Cofnęli się na dawne miejsce, ukryli za krzew  
i, tłumiąc oddech, by się nie zdradzić, że tam  
są, przesiedzieli tak do wieczora, głodni i spr-



gnieni, nie śmiejąc nawet słowa przemówić do siebie.

Mrok wieczoru znowu ich uśpił i znów przespał noc całą.

Wschód słońca zbudził ich na nowo.

— Jeść mi się chce okrutnie — mówiła Marysia.

— Poszukamy jagód — rzekł Jaś.

Znaleźli niewiele i tem głodu nie zaspokoili.

Wtem chrzest łamanych gałęzi znów dał się słyszeć.

— Tatar wraca — szepnęła Marysia.

Jaś zerwał się, począł nasłuchiwać.

— To nie Tatar — odparł po chwili — ktoś płacze.

To mówiąc, wychylił głowę. Jakaś dziewczynina, zapewne córka którego z kmieci wsi okolicznej, szła boso, w jednej koszulinie.

Jaś zbliżył się do niej.

— Czego płaczesz? — zapytał.

— Jeść mi się chce. Tatarzy zabrali ojca i matkę, a ja uciekałam.

— Chodź do nas — rzekł Jaś i poprowadził ją do siostry.

Znów dzień im upłynął; przespali się teraz we troje. Gdy nazajutrz wstali, byli jeszcze bardziej osłabieni, a głód dokuczał im niewymownie. Postanowili pójść głębiej w las.

— Tutaj już nic niema, może tam znajdziemy — rzekł Jaś.

I poczęli przedzierać się przez coraz gęstsze krzewy. Marysia szła naprzód i prowadziła małą, Jaś, dążąc za niemi, oglądał się ciągle za siebie, czy Tatarzy się nie pojawiają. Tutaj jagód było więcej, dzieci zbierały spokojnie — były głodne, więc zapomniały o niebezpieczeństwie.

Naraz Jaś usłyszał, że ktoś idzie za nimi; zdretniał na razie, lecz obejrawszy się, usłyszał głos dobrze mu znany.

— Dzieciny moje!

To siostra Wisenna tak serdecznie ich wołała.

— Jaś krzyknął na Marysię, idącą naprzód, wkrótce oboje rzucili się do rąk zakonnicy, całując je i płacząc z radości. Maleńka garnęła się także.

Siostra Wisenna ze łzami w oczach ścisnęła wszystko troje.

Bóg czuwał nad nimi — mówiła z rozrzewnieniem — o jakżem rada, że was znalazłam. Tatarzy ominęli nasz klasztor, wróćcie ze mną, zastaniemy siostrę Barbarę i siostrę Konstancję, czterech chłopców i trzy dziewczynki.

— A reszta? — zapytały dzieci.

Siostra Wisenna westchnęła.

— Jednych Tatarzy pomordowali, innych uwięzili ze sobą. Pomordowanych kazałam pochować na cmentarzu naszym; tych, co się ukryli w lesie, szukam i zabieram do siebie. A co to za dziewczynka? — zapytała, wskazując maleńką.

Jaś opowiedział przegodę.

— Zabierzemy ją z sobą, będzie rosła z wami razem — rzekła zakonnica i wzięła dziecko za rączkę.

— Wczoraj widziałem na drodze czapkę Bolka — odezwał się Jaś.

— Tego Tatarzy porwali ze sobą — mówiła ze smutkiem siostra Wisenna.

— Czy Tatarów już niema? — spytała Marysia.

— Poszli dalej, spalili i złupili Kraków, spalili wiele wsi i miasteczek sąsiednich i podążyli dalej łupić, palić i niszczyć.

— Gdy urosnę, zostanę rycerzem i będę bronić szablą naszych wsi i grodów — rzekł Jaś.

— A ja, jak siostra Wisenna, będę zbierać głodne dzieci po lesie i odprowadzać do klasztoru — odezwała się Marysia.

Siostra Wisenna uśmiechnęła się do obojga.



— Rośnijcie na chwałę Bogu i na pociechę  
dziom — odparła.

Takie to niedole spotykały wówczas dzieci.

. . . . .

Jaś i Marysia wrócili do klasztoru i uczyli się  
znowu pilnie; i wszystko w Staniątkach szło po  
dawnemu, tylko każdego wieczora i każdego ranka,  
przy odmawianiu zwykłych modłów, siostra Wi-  
senna odzywała się głośno:

— Teraz zmówcie, dzieci, „Ojcze nasz” i „Zdro-  
waś” za pomordowanych przez Tatarów w roku  
1241 i 1259.

Gdy dzieci pacierz zmówiły, siostra odzywała  
się znowu:

— A teraz na intencję tych nieszczęśliwych,  
którzy cierpią w jasyrze.

Wtedy Marysia i Jaś podnosili wzrok błagalny  
na Matkę Bolesną w ołtarzu i szeptali:

— Ubłagaj u Boga, najlepsza z Matek, przeba-  
czenie dla Bolka; niech powróci do nas, niech prze-  
stanie cierpieć.

---